



BYK BODZIE W RZIĆ	3
Zbigniew Rokita	
PRZYSZOWICE	10
27 STYCZNIA 1945 ROKU	
Ryszard Kaczmarek	
CZY WARSZAWĘ	24
ZBUDOWALI ŚLĄZACY?	
Arkadiusz Gruszczyński	
OBRAZY WOJNY	39
Paulina Olszewska	
KOLOFON	43

BYK BODZIE W RZIC'

Zbigniew Rokita

W Pałacu Kultury wystawiają sztukę po śląsku. W centrum Warszawy wystawiają sztukę po śląsku nie dlatego, że jest ona po śląsku, nie żeby było śmiesznie, ale z uwagi na jej wartość artystyczną. To rewolucja, a raczej kolejny etap górnośląskiej rewolucji, która już dawno rozlała się poza duszne granice naszego hajmaciku.

Cieszę się, że *Byk* wydarzy się właśnie w Pałacu Kultury. Budynku, który miał fallicznie górować nad całym krajem, a karleje coraz bardziej w morzu drapaczy chmur; budynku, który aby pokochać, wystarczy zreinterpretować uznając go za pomnik polskiego zwycięstwa nad komunizmem, zamiast tępo wierzyć, że jest odwrotnie – że to pomnik komunizmu. Bliska mi ta pierwsza perspektywa, bo i cały nasz śląski hajmacik domaga się nie zburzenia, lecz reinterpretacji i tchnięcia weń nowego życia.

Byk tym nowym życiem jest. To dzieło dwóch znakomitych Ślązaków – Roberta Talarczyka i Szczepana Twardocha – którzy robią to, czego Śląsk potrzebuje szczególnie: opowiadają go.

I proszę – Ślązaków chcą słuchać w całej Polsce. Śląsk, najbardziej wyrazista kraina tej dziwnej Poniemiecji, dziś jest na fali. Mało tego: Ślązacy chcą słuchać samych siebie, a nawet mają sporo do powiedzenia. Żeby bowiem przetrwał śląski logos, żeby się wykonturował i uwierzył sam w siebie, przede wszystkim musi snuć się śląska opowieść. Żywa, atrakcyjna, nie z rezerwatu. To, czego nie opowiemy, nie istnieje, a Ślązacy są wciąż niedoopowiedzeni.



Zdjęcie z prób
fot. Przemysław Jendroska

Nasz hajmacik skrzy się dziś nową formą, niebezpieczeństwem dla niej jest jednak pozostawienie tej habitusowej formy bez treści. *Byk* tę treść daje.

Nie ma jednych Ślązaków i Ślązaczek, są różne i różni. Jedni chętnie wpisują swoją tożsamość w polskość, inni w niemieckość, tymczasem Twardoch stał się głośnym głosem Ślązaków i Ślązaczek bezprzymiotnikowych, symbolem śląskiej osobności. Stał się nim także stworzony na nowo przez Roberta Talarczyka Teatr Śląski, który na nowo Śląsk opowiada i tego nowego Śląska stał się jednym z kluczowych biegunów.

Ale Twardochowa myśl nie ogranicza się jedynie do narodowościowych dylematów. Wykracza daleko poza nie, człowieka śląskiego pokazuje uwikłanego też w swoją klasowość, płciowość, ale i człowieczość. Myśl Twardocha, endemicznego dla Śląska, jak diabeł tasmański dla Tasmanii – tyle że w przeciwieństwie do tego ostatniego jak najbardziej żywego.

To o problemach Ślązaków, tych „germańskich Słowian”, którzy okraczając rozsiadli się na narodowościowych liniach demarkacyjnych, które poszatkowały region. Ślązacy lubią opowiadać, że zostali przez Polaków i Sowieców porwani z Zachodu na Wschód, nie snując przy tym opowieści środkowoeuropejskiej (przynajmniej nie pruski – cysoroki już chętniej), mówiąc jak niektórzy o Europie Środkowej jako o czyścisku w drodze ze Wschodu na Zachód.

Po 1945 roku Polskę zszywano na nowo z różnych kawałków, a po 1989 roku Ślązacy okazali się szwem, który w tej patchworkowej krainie uparcie nie chce się wchłonać. Ich pamięć okazała się bluźniercza, heretycka z tymi wszystkimi opami w mundurach barwy feldgrau i tużpowojennymi obozami koncentracyjnymi. Ślązacy stali się klockiem lego, na który polska stopa od czasu do czasu nadep-

nie. Ci cali nieszczęśni Ślązacy to opowieść o centrum, które nie rozumie swoich peryferii, a spośród wszystkich polskich peryferii – przynajmniej w sensie narodowościowym – te śląskie peryferie są najbardziej asertywne i najchętniej pokazują środkowy palec tym wszystkim, którzy roją o kraju zglajchsztaltowanym na ich modłę, o dopchanej kolanem urawniłowce. Ci rezydujący na ogół w Warszawie kulturtragerzy śląskość niszczą, ale podejrzewam, że na ogół nie wiedzą nawet o tym, że niszczą. To prześladowania pluszowe, mięciutki – a tu powiemy, że Ślązacy nie mają swojego języka, a tu oświadczymy, że nie istnieją. A tu nagle na placu Defilad dopada ich – Twardochowy *Byk* i dotkliwie bodzie w rzić. I co te boroczki na to?

I niesie się skrzydlata bycza fraza i twardochowo-talarczykowy *Byk* się drze: „Miękki, słaby, chociaż wielki jak byk, idiota, idiota, idiota. A wszyscy myślą, że jestem taki twardy, nie do zajebania. Bo to prawda, jestem nie do zajebania. Jestem jak bunkier, nie ugryziesz. Nie tacy, kurwa, próbowali. Nie zajebiesz. Jestem bykiem. Patrzcie, kurwa. Jestem jak bunkier, nie ukruszysz. Jestem nie do zajebania. Idiota. Ale nie do zajebania. Rozumiesz?”.

ZBIGNIEW ROKITA (ur. 1989) – reporter, redaktor, specjalizuje się w problematyce Europy Wschodniej i Górnego Śląska. Autor książek reporterskich *Królowie strzelców*, *Piłka w cieniu imperium* oraz *Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku*, za którą otrzymał Nagrodę Literacką Nike, zarówno od jury, jak i czytelników. Autor sztuki teatralnej *Nikaj* (Teatr Zagłębia, reż. Robert Talarczyk). Pochodzi z Gliwic.



Zdjęcia z albumu rodzinnego
Szczepana Twardocha

PRZYSZOWICE 27 STYCZNIA 1945 ROKU

Ryszard Kaczmarek

Przyszowice to mała miejscowość niedaleko Gliwic, dzisiaj należąca do gminy Gierałtówice, ale komuś, kto przejeżdża przez aglomerację górnośląską po raz pierwszy, trudno się zorientować, czy jeszcze jest w Katowicach, w Rudzie Śląskiej, czy może już w Gliwicach. Metropolia górnośląska coraz bardziej staje się jednym wielkim miastem. Przyszowice mają zaś własną, dość typową dla tego regionu, długą historię, sięgającą aż średniowiecza. Wieś najpierw należała do Piastów opolskich, potem, kiedy Śląsk znalazł się pod panowaniem Prus, do niemieckiej rodziny von Raczek. Z tego okresu pochodzi znajdujący się obok miejscowości okazały pałac otoczony parkiem,



Mapa Górnego Śląska z czasów II wojny światowej – tereny wcielone do III Rzeszy

podobnie jak w innych rezydencjach niemieckiej szlachty. Do dzisiaj pałac jest lokalną atrakcją turystyczną. Od kilkudziesięciu lat Przyszowice znane są jednak z jeszcze z innego powodu. Na początku XXI wieku, po kilkudziesięciu latach milczenia, ujawniono zbrodnię popełnioną tutaj podczas wkraczania na Górny Śląsk Armii Czerwonej w styczniu 1945 roku.

Przyszowice przed wybuchem II wojny światowej należały do Polski. W czasie plebiscytu prawie dwie trzecie mieszkańców wsi opowiedziało się za przyłączeniem jej do II RP. Po podziale terenu plebiscytowego wieś znalazła się przy samej granicy. Tylko kilka kilometrów dzieliło ją od niemieckich Gliwic, skąd we wrześniu 1939 roku wkraczały maszerujące na wschód oddziały Wehrmachtu. Przyszowice i cały polski Górny Śląsk znalazły się pod okupacją niemiecką, która trwała aż do wkroczenia na te tereny Armii Czerwonej w trakcie tzw. ofensywy zimowej 1945 roku.

Do dzisiaj, zarówno we wspomnieniach Górnoślązaków, jak i w opracowaniach historycznych, mamy dwa różne obrazy tego wyzwolenia w styczniu 1945 roku. Pierwsza z tych narracji pokazuje kres koszmaru II wojny światowej i koniec strasznej niemieckiej okupacji, razem ze wszystkimi zbrodniami Niemców na ludności cywilnej, wymordowaniem Żydów europejskich, zbrodni ludobójstwa w obozach koncentracyjnych, z których ten największy, KL Auschwitz, utworzono raptem 50 kilometrów od Przyszowic, a jego więźniowie pracowali w usytuowanych nieopodal zakładach przemysłowych Gliwic. Druga narracja o wydarzeniach 1945 roku na Górnym Śląsku jest diametralnie odmienna. To obraz bliższy temu, który znamy z opisów miast niemieckich zajmowanych przez Armię Czerwoną. Obraz zniszczenia, strachu przed gwałtami, ucieczki przed mordami na ludności cywilnej. Przyszowice to miejscowość, gdzie w 1945 roku, jak w soczewce, widzimy podzieloną pamięć historyczną. Z jednej strony wspomnienie o mieszkańcu, który po zakończeniu walk wybiega z własne-

go domu z białą flagą, chcąc witać czerwonoarmistów, a z drugiej strony pamięć o tym samym człowieku, który bez żadnego powodu zostaje zastrzelony jako Niemiec. Dzisiaj już wiemy, że oba te obrazy są prawdziwe, nie wykluczają się nawzajem, ale uzupełniają. Dopiero gdy zaakceptujemy obydwie te narracje, zrozumiemy wydarzenia, do jakich doszło w Przyszowicach 27 stycznia 1945 roku.

Z historycznego punktu widzenia odpowiedź na pytanie, dlaczego doszło do zbrodni w Przyszowicach, znajdziemy w dziejach miejscowości podczas II wojny światowej. Wtedy ta polska wieś znalazła się pod niemiecką okupacją, a jej nowi władcy, podobnie jak obszar całego polskiego Górnego Śląska, bezprawnie przyłączyli ją do „Tysiącletniej” Rzeszy Niemieckiej. Miejscowych Górnoszlązaków wpisali zaś na tzw. volkslistę i uznali za obywateli niemieckich. W związku z tym mieszkańcy Przyszowic stali się „godni” służyć w niemieckim Wehrmachcie. W armii niemieckiej najczęściej służyli w wojskach lądowych, chociaż zdarzało się, że trafiali i do Kriegsmarine i do Luftwaffe. Ci z Górnoszlązaków, którzy poczuli się rzeczywiście Niemcami, mogli nawet ochotniczo zgłosić się do SS – zdarzało się to jednak wyjątkowo. Dopiero w 1944 roku, kiedy w jednostkach Waffen SS, podobnie jak już wcześniej w Wehrmachcie, coraz trudniej było o nowych rekrutów, zaczęto Górnoszlązaków przyjmować do SS z normalnego poboru, nie pytając ich nawet o zgodę. W Wehrmachcie Górnoszlązacy z byłej polskiej części Górnego Śląska (wpisani na volkslistę) byli zazwyczaj zwykłymi żołnierzami, co najwyżej zasługującymi sobie przebiegiem służby na awanse do stopni podoficerskich. Stawali się jednak prędko częścią nadzwyczaj sprawnej niemieckiej maszyny wojennej, dość szybko uczyli się języka niemieckiego, żołnierzami zazwyczaj byli karnymi i dlatego nierzadko otrzymywali odznaczenia wojenne, z Krzyżem Żelaznym na czele. W innych krajach europejskich, które znalazły się pod okupacją niemiecką, gdzie również doszło do podobnych przypadków wcielania miejscowych do Wehrmachtu (Alzacja we Francji,

Bekanntmachung

In den letzten Tagen habe ich mehrfach festgestellt, dass Antragsteller in den für die Aufnahme in die

DEUTSCHE VOLKSLISTE

herausgegebenen Fragebogen unvollständige oder unwahre Angaben gemacht haben, insbesondere die Zugehörigkeit zu polnischen Organisationen oder den Besitz polnischer Orden und Ehrenzeichen verschwiegen oder auch fälschlicherweise die Zugehörigkeit zu deutschen Organisationen oder den Besuch deutscher Schulen durch die Kinder behauptet haben. Dabei sind durch die Nachprüfung an Hand der vorhandenen Unterlagen die Täuschungsversuche immer wieder bald aufgedeckt worden.

Die betreffenden Antragsteller werden

in SCHUTZHAFT GENOMMEN

Gegen sie wird mit aller Strenge vorgegangen werden.

Ich warne daher die Bürgerschaft davor, zu versuchen, die Entscheidungen der Dienststellen der Deutschen Volksliste durch unwahre Angaben zu beeinflussen. Die für diese Fälle zu erwartende Bestrafung kann nur eine sehr strenge sein.

Kattowitz, den 18. August 1944.

Der Oberbürgermeister
Zweckstelle der Deutschen Volksliste

Wezwanie do wypełniania volkslisty

Słowenia, Czechy, Luksemburg, część Belgii), takich powołanych do armii niemieckiej nazywa się do dzisiaj „zmuszonymi do służby wojskowej” (Zwang srekrutierte/malgré-nous).

W Polsce zapomniano, że przyznanie niemieckiego obywatelstwa w czasie trwającej wojny i powołanie do armii niemieckiej na Śląsku, Pomorzu i w Wielkopolsce było bezprawiem i w większości przypadków działo się wbrew woli tych młodych mężczyzn. Wielu z nich wzięło przecież czynny udział w działalności polskiego ruchu oporu (tak potoczyły się chociażby losy ostatnio uznanego za błogosławionego księdza Jana Machy) albo przeszło do służby w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie (prawie 40 tys. żołnierzy PSZ to byli Górnoślązacy, którzy zdezerterowali lub w obozie jenieckim podjęli decyzję o rozpoczęciu służby w Wojsku Polskim). Większość Górnoślązaków pozostała jednak w służbie niemieckiej do końca wojny. Bali się zdezerterować, bali się o los własnych rodzin, a niekiedy po prostu uznawali, że trzeba poczekać, aż Niemcy przegrają. Kiedy nadarzyła się pod koniec wojny okazja, by uciekać ze swoich oddziałów na Górnym Śląsku, to porzucając mundur, próbowali przeczekać, aż front przetoczy się i nad ich głowami i będą mogli się ujawnić.



Zdjęcie z Gliwic po bombardowaniu miasta w 1945 roku, przed wkroczeniem Armii Czerwonej



Zdjęcie z Gliwic po bombardowaniu miasta w 1945 roku, przed wkroczeniem Armii Czerwonej



Widok pomnika na placu Wolności w Katowicach po zamienieniu go na pomnik Armii Czerwonej (źródło – Archiwum Państwowe w Katowicach)

Czerwonoarmiści, wkraczając na Górny Śląsk, powinni rozróżnić dawny niemiecki Górny Śląsk od polskiego. Jednak jeżeli dzisiaj nawet my mamy kłopot ze zrozumieniem, dlaczego przed wojną jedna część ówczesnego Górnego Śląska to były Niemcy, a druga to była Polska do 1939 roku, ale już podczas wojny znowu Niemcy, i dlaczego po jednej stronie mieszkali pełnoprawni obywatele niemieccy (reichsdeutsche), a po drugiej stronie zapisani na niemiecką volkslistę obywatele niemieccy drugiej kategorii (volksdeutsche), to nietrudno się zorientować, że dla większości żołnierzy Armii Czerwonej tym bardziej takie „niuanse” nie były zrozumiałe. Dla czerwonoarmistów na linii frontu, nawet jeżeli mówili im o tym oficerowie, nie odgrywało to żadnej roli albo nie byli w stanie zrozumieć tych skomplikowanych podziałów. Wkraczając do miast górnośląskiej aglomeracji, w której królowały niemieckie napisy, na każdym kroku natykali się na symbole nazistowskiego państwa i uznawali, że są już w „Germanii”. Można więc było dać ujście nienawiści do wroga winnego barbarzyńskiej wojny.

Tak się zresztą nie tylko w Przyszowicach koło Gliwic, lecz także w wielu innych miejscowościach leżących na przedwojennym polskim Górnym Śląsku. Niekiedy były to pojedyncze mordy i gwałty, niekiedy zaś tragedie swoją skalą przewyższające nawet to, co stało się w Przyszowicach. Najgłośniejsze do dzisiaj są masowe mordy czerwonoarmistów dokonane na mieszkańcach Michałkowic koło Bytomia. Kiedy dochodziło do tych zbrodni, zazwyczaj pretekstem były nie wspomniane historyczne motywy, ale zemsta za opór, jaki w tych miejscowościach stawiały oddziały niemieckie, albo za pogłoski o pomaganiu przez miejscowych Wehrmachtowi, w tym ukrywaniu żołnierzy niemieckich, lub też odosobnione próby obrony kobiet czy własnego dobytku. Żaden z tych powodów nie jest usprawiedliwieniem tego, co stało się z ludnością cywilną na Górnym Śląsku, a zbrodnia w Przyszowicach była aktem ludobójstwa.

Według ustaleń podczas śledztwa przeprowadzonego na początku tego wieku przez Instytut Pamięci Narodowej w Katowicach żołnierze radzieccy (należeli prawdopodobnie do działających na tym obszarze frontu jednostek 100 Brygady Pancerniej wspieranej przez pododdziały 145 Samodzielnego Batalionu Saperów oraz artylerzystów 1442 Pułku Artylerii Samobieżnej i dywizjonu dział pancernych SU 152) zamordowali w Przyszowicach 69 osób w wieku od 10 do 78 lat, w większości cywilów z tej miejscowości. Zrekonstruowano także dość szczegółowo przebieg wypadków w feralnych dniach 25–27 stycznia 1945 roku. W miejscowości usytuowanej na przedpolu Gliwic doszło najpierw do ciężkich walk oddziałów Armii Czerwonej z broniącym Górnego Śląska Wehrmachtem. Świadkowie potwierdzają duże straty, jakie ponieśli żołnierze radzieccy. Jak się szacuje, mogło wówczas zginąć nawet ponad 100 czerwonoarmistów, a po walkach pozostało w okolicy kilka spalonych czołgów niemieckich i kilkadziesiąt wraków czołgów radzieckich. Według wielu relacji właśnie to stało się podstawową przyczyną dramatu cywili, do którego doszło 27 stycznia. Po wkroczeniu do miejscowości żołnierze sowieccy strzelali do każdego cywila, jeżeli tylko ktoś próbował wyjść z ukrycia. Najczęściej, w czasie przesuwania się frontu, wszyscy mieszkańcy ukrywali się przez kilka dni w piwnicach. Teraz, kiedy jako pierwsi wychodzili z nich mężczyźni, byli natychmiast rozstrzeliwani. Potem czerwonoarmiści zaczęli wyciągać ludzi z piwnic siłą i rozstrzeliwać mężczyzn. Ówczesny administrator parafii przyszowickiej, ks. Grzegorz Grajewski, w swojej kronice opisał najczęstsze oskarżenia, jakie padały ze strony Rosjan. Przede wszystkim zarzucano mężczyznom, że są przebranymi żołnierzami niemieckimi, ponieważ w kilku domach znaleziono jakoby dowody ich służby w Wehrmachcie (na całym Górnym Śląsku przed wkroczeniem Armii Czerwonej palono, niszczone lub chowano wszystko, co mogło być przyczyną oskarżeń: mundury, książeczki, wojskowe, zdjęcia). O wiele częściej pretekstem do mordów była jednak prymitywna chęć rabunku: najczęściej żądanie oddania zegarków, go-

rączkowo poszukiwanych i zbieranych przez sowieckich żołnierzy; kilkakrotnie poświadczane są także żądania wydania bimbru; ciągle szukano kosztowności. Odpowiedź odmowna zazwyczaj kończyła się rozstrzelaniem, mimo tłumaczeń, że mieszkańcy wsi już nie mają ani zegarków, ani wódki, ani jakichkolwiek innych cennych rzeczy. Mężczyzn mordowano na oczach przerażonych rodzin, dochodził też do gwałtów na kobietach i dziewczynkach. Ich liczba nie została do dzisiaj precyzyjnie ustalona. Część zabudowań we wsi podpalono, potem oszacowano, że było to 70 budynków mieszkalnych i gospodarczych. Strzelano do ludzi próbujących powstrzymać rozprzestrzenianie się pożaru.

W kilku przypadkach śledztwo ujawniło szokujące szczegóły dotyczące ofiar. Jednym z zabitych okazał się 78-letni były powstaniec śląski, wówczas już niepełnosprawny, nieopuszczający łóżka – zamordowano go w nim, a potem podpalono jego dom. Trzech zamordowanych mężczyzn było więźniami KL Auschwitz, którzy uciekli z marszu śmierci (dwóch Włochów i Węgier). Znaleźli schronienie w Przyszowicach i czekając na koniec wojny, zostali zabici przez „wyzwoliciele”. Jednym z zamordowanych był Polak z Francji, który by wziąć udział w wojnie z Niemcami w 1939 roku, wrócił do kraju. W czasie kampanii wrześniowej trafił do niewoli niemieckiej i jako jeńiec pracował w gliwickiej kopalni. Przed końcem wojny schronił się u poznanej dziewczyny w Przyszowicach, a czerwonoarmiści zabili uznając, że jest Niemcem.

Ofiary masakry zostały pogrzebane pod kontrolą Rosjan w zbiorowej mogile na miejscowym cmentarzu. Nie wolno było ich upamiętniać. Dopiero po zmianie ustrojowej w Polsce, w 60. rocznicę zbrodni, ufundowano tablicę pamiątkową z nazwiskami ofiar zbrodni w Przyszowicach.



Tablica pamiątkowa na cmentarzu w Przyszowicach
Zdjęcia oraz materiał wizualny za uprzejmością autora

RYSZARD KACZMAREK (ur. 1959 r. w Brzęczkowicach koło Mysłowic) – polski historyk, profesor nauk humanistycznych, nauczyciel akademicki Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Śląskiego, badacz dziejów Górnego Śląska i historii stosunków polsko-niemieckich w XIX i XX wieku. Autor m.in.: *Historia Polski 1914–1989*; *Polacy w armii kajzera*; *Polacy w Wehrmachcie*; *Powstania śląskie 1919–1920–1921*.



CZY WARSZAWĘ ZBUDOWALI ŚLĄZACY?

Arkadiusz Gruszczyński

Kiedy opowiadam znajomym, że urodziłem się na Dolnym Śląsku, ci proszą, żebym powiedział coś gwarą. Kilka lat temu reagowałem irytacją, dzisiaj pytam, czy uważali na geografii. Albo odpalam Google Maps i pokazuję, że pomiędzy Katowicami a Głogowem jest 315 km, a między Berlinem a Głogowem 270 km.

Jeśli chodzi o precyzję, to wychowałem się w Jerzmanowej, w małej wsi pod Głogowem, która do 1945 roku nosiła dumną nazwę Hermsdorf. Polacy przyjechali tam po wojnie, nie licząc jednej pani, która sprzątała w pałacu bogatego grafa. Moja babcia i wiele innych babć moich rówieśników opowiadały, że w murowanych domach znalazły drewniane zabawki, nieznane na wschodzie Polski. Dzieci spod Lwowa bawiły się lalkami przerobionymi z kolby kukurydzy i pistoletami wystruganymi z gałęzi. Moi pradziadkowie ze zdziwieniem odkryli, że w domu może być toaleta. Te niemieckie domy miały przestronne kuchnie, liczne pokoje, jadalnię, pokój dzienny. Przeskok z drewnianej chaty do murowanej „rezydencji” był kulturowym szokiem i przesłoniętą rewolucją w wersji z Ziemi Odzyskanych. To kolejna różnica między Górnym a Dolnym Śląskiem: mamy odmienną historię. Także tożsamości lub jej braku.

W 1945 roku ludzie ze Wschodu i Polski Centralnej, Łemkowie i Żydzi musieli się dogadać, porzucili więc ojczyste języki i zaczęli mówić po polsku. Mieszkańcy tych ziem – dodajmy, że piastowskich – do

dzisiaj nie opracowali regionalnej kuchni, tradycji, nie ma tam nic, co wychodziłoby poza ramy wyobrażonej Polski. Pierogi i rosół, wigilijny karp i mielone, kompot do obiadu i kiełbasa z grilla. To nie Górny Śląsk z niepodrabialnym jedzeniem: kluskami, roladami i modrą kapustą.

W moim rodzinnym świecie nie ma też grobów, bo moi przodkowie umarli gdzieś indziej. To kraina, która w punkcie zero musiała się wymyślić na nowo.

250 MLN ZŁOTYCH ZE ŚLĄSKA

Kiedy 13 lat temu przyjechałem do Warszawy, czyli 480 km od domu, nie znałem tu nikogo. Nie tęskniłem za rodziną, bo chciałem się usamodzielnąć, szybko znalazłem przyjaciół, chodziłem na studia i pracowałem. Dziwiło mnie, że tak wielu ludzi „zaciąga”, je na kolację dziwaczne potrawy, szuka „ziomków” z rodzinnych stron. Tak bardzo tęsknili, że musieli zbudować sobie mały Śląsk, małe Kaszuby, mały Poznań w Warszawie.

Szukam więc śladów Śląska w stolicy. W Alejach Ujazdowskich do Ignacego Paderewskiego, Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego w 2019 roku dołączył kolejny ojciec polskiej niepodległości, czyli Wojciech Korfanty (a gdzie są matki?). Podobizna śląskiego polityka opiera się o betonowy kloc, na którym widnieje hasło: „polityk, chrześcijański demokrat”. Na pomnik, jak się dowiaduję, zrzuciły się śląskie miasta. Historię piszą zwycięzcy, cokoły stawiają wygrani. Jeśli przyjąć, że powstanie śląskie, na czele którego stał Korfanty, było wojną hybrydową wywołaną przez Polaków po przegranych plebiscy-

cie, to jego pomnik w Warszawie wpisuje się w polskie imaginarium o polskości ziem. Prawda jest banalniesza: bogaty Śląsk ze złożami węgla był łakomym kąskiem dla młodego państwa.

Idźmy dalej. W „białym domu”, czyli siedzibie KC PZPR, do dzisiaj można zobaczyć gabinet Edwarda Gierka. Kolejny pierwszy sekretarz nie zajmował biura poprzednika, może ze względu na szacunek, a może z przesądu. Toczą się spory, czy Gierka można uznać za Ślązaka, ale to temat na inną opowieść. Po sąsiedzku w Muzeum Narodowym w Galerii Sztuki Średniowiecznej jest sporo dzieł ze Śląska. Jak się tam znalazły? Zrabowano je? Tomasz Fudala z Muzeum Sztuki Nowoczesnej opowiada mi, że w kościele na placu Grzybowski wisi aż osiem obrazów Michaela Willmanna, jednego z najwybitniejszych malarzy śląskich. Wyobrażam sobie, że po uzyskaniu autonomii przez Śląsk Polska odda te dzieła sztuki, tak jak teraz Francuzi zwracają obrazy wywiezione z kolonii.

Na Powiślu od czasów przedwojennych mamy ulicę Górnośląską, która od 1770 roku nosiła nazwę Górna. Na Bemowie mamy od 1954 roku ulicę Powstańców Śląskich, której północny odcinek został poprowadzony po dawnym pasie startowym lotniska. W okolicy własną ulicę mają Piastowie Śląscy, kojarzeni raczej z Dolnym, a nie Górnym Śląskiem. Na Ochocie przez jakiś czas działało Królestwo, czyli filia znanej knajpy z Katowic. Nie przyjęło się, bo syte, warszawskie mieszczaństwo nie akceptuje głośnych imprez do rana i tostów na obiad. Codziennie blisko 30 tysięcy aut przejeżdża przez most Śląsko-Dąbrowski, który zastąpił w tym samym miejscu most Kierbedzia. Konstrukcje stalowe zostały wykonane przez Hutę Zabrze i Zakłady Produkcji Konstrukcji Stalowych w Chorzowie, a przeprawę sfinansowali mieszkańcy i mieszkanki Śląska, zbierając w ciągu roku 250 mln złotych.

CZY ŚLĄZACY MÓWIĄ PO POLSKU?

Ze Śląska do Warszawy w 2022 roku przeniosła się Galeria Szara, prezentująca sztukę współczesną. Galerzyści z całej Polski przyjeżdżają do stolicy, bo tutaj żyją bogaci ludzie, którzy mogą zainwestować w młode malarstwo, tutaj jest nienasycona widownia, tutaj są media i kuratorzy.

W Szarej pracuje Paweł Świerczek, który przeprowadził się do Warszawy kilka lat temu. Ma w rodzinie wujka, który był raz w stolicy jako młody chłopak i został wyśmiany za godzenie po śląsku. Nigdy tu nie wrócił. Kiedy rodzina Pawła dowiedziała się, że zamierza zamieszkać w Warszawie, próbowała go zniechęcić. „Całe życie słyszałem, że Polska to kraj, który zabiera bogactwo regionu, wykorzystuje nas. Powszechnie uważa się, że Górny Śląsk sfinansował odbudowę Warszawy. I teraz chcę tam mieszkać? Rodzina nie rozumiała, że wyjeżdżam daleko i nie będę już tak często odwiedzał domu” – mówi.

Świerczek przyjechał do Warszawy, bo Katowice stały się za małe, chciał obcować z rzeczami, które go interesują. Pracował w Muzeum Śląskim, był dziennikarzem „Gazety Wyborczej”, wciąż współtworzy queerowy kolektyw Śląsk Przegięty, który założył tuż przed wyprowadzką do Warszawy. Tutaj może chodzić do progresywnych teatrów, pracować z ciałem, brać udział w warsztatach improwizacji kontaktowej. Na Śląsku mu tego brakowało, miał poczucie, że dużo go omija. „W Katowicach mamy jedno miejsce, w którym organizujemy »przegięte« imprezy, nie ma alternatywy. Po wyprowadzce Szarej w Katowicach nie ma chyba ani jednej prywatnej galerii sztuki, na całym Górnym Śląsku jest jeden klub taneczny dla osób LGBT. Nie wiem, jak przełamać ten impas” – mówi.



Paweł Świerczek
fot. Natalia Kaniak

Opowiada, że nauczył się języka polskiego dopiero w szkole, w jego domu godo się wyłącznie po śląsku. Świerczkowie mieszkają tam od zawsze, w lokalnych kronikach z XVII wieku pojawia się ich nazwisko. Pochodzi z rodziny górniczej, w której śląskość nie poddaje się refleksji, jest czymś codziennym, przezroczystym. „Jest dla mnie intersekcjonalna. Uwiera mnie, że w mainstreamowych dyskusjach jest zrównywana z narodowością. Publicyści przedstawiają trzy opcje: Śląsk jest polski, niemiecki albo autonomiczny. Nie zwraca się uwagi na przykład na różnice między Śląskiem miejskim a wiejskim, co według mnie jest kluczowe dla jego zrozumienia” – mówi Świerczek. Mój rozmówca zwraca uwagę, że jest podejrzliwy wobec idei narodu. Uważa, że historycznie jest względnie nowa i wcale nie kluczowa dla

zrozumienia i przeżywania śląskości. „Nie czuję się Polakiem, jestem związany ze Śląskiem i życzyłbym sobie kraju pielęgnującego różnorodność regionów” – opowiada.

Trudno mu mówić o jednej śląskości. Wychował się w Lubomi, czyli na wsi, dlatego życie przy kopalni jest dla niego czymś obcym. Jego ojciec dojeżdżał do pracy przez godzinę. Uważa, że niewiele go łączy z ludźmi mieszkającymi w Gliwicach czy Zabrze. „Inną sprawą jest różnorodność etniczna. Mamy przecież na Śląsku rodziny pochodzenia czeskiego czy żydowskiego. Co z wpływami węgierskimi czy austriackimi, o których mało kto pamięta? To przemieszanie jest wpisane w śląskość, co sprawia, że Górny Śląsk jest na swój sposób queerowy” – opowiada. Śląskość jest dla niego rozmywaniem granic i upłynnianiem kategorii tożsamościowych, nie tylko tych związanych z narodowością.

„Ślązaków ciągnie do siebie”, mówi Świerczek. „Kiedy mieszkałem w Londynie, unikałem Polaków, chciałem żyć w innych społecznościach. A tutaj jest inaczej, utrzymuje się te znajomości. Śląskość można zobaczyć w pełnej okazałości dopiero, jak się stamtąd wyjedzie. Dopiero wtedy widzi się naszą odmienność” – opowiada Świerczek. Ta inność to przede wszystkim język. Paweł myśli i liczy po śląsku. Kiedy jedzie do domu, automatycznie przestawia się na ojczysty język, a po powrocie do Warszawy musi kilka dni czy nawet tygodni przypominać sobie polski. „Nauczyłem się, żeby nie mylić kołacza z kołoczem, którego w Warszawie nie można dostać. Nie jestem zbyt religijny, dwa lata temu spędziłem wigilię w stolicy, nie pojechałem do rodziny. I przyznam, że brakowało mi śląskiego jedzenia, chociażby zupy grochowej, którą się je w mojej wsi. Czy moczki, rozgotowanego piernika z bakaliarni” – mówi.

ŚLĄSKOŚCI NAUCZYŁAM SIĘ W SZKOLE

O jedzeniu sporo ostatnio myśli Agnieszka Łabuszewska, właścicielka kawiarni i restauracji Kulturalna w Pałacu Kultury i Nauki. W trakcie pandemii wprowadziła do menu kluski śląskie i zatrudniła szefową kuchni, która urodziła się w Katowicach. „Okazało się, że w Kulturalnej pracują cztery osoby ze Śląska, bo mój specjalista od PR też jest stamtąd, tak samo jak ja i moja siostra” – opowiada Łabuszewska. Lubią sobie pogodość, czują się dobrze w tym języku, budują mikrowspólnotę.

Nie jest typową Ślązaczką. Jej rodzice krytycznie wypowiadali się o Śląsku, przyjechali tam za pracą, ale nigdy nie nauczyli się języka, którym – według ich słów – mówiła klasa robotnicza. A oni aspirowali do inteligencji pracującej. Agnieszka w szkole zaprzyjaźniła się z ludźmi, dla których gwara była czymś naturalnym. Zaczęła poznawać język, zwyczaje, przesiąkała śląskością, uczyła się jeść modrą kapustę, białe i szare kluski, rolady. „Zazdrościłam Ślązakom, bo mieli dostęp do »sklepów na g«, czyli górniczych peweksów, dziewczynki bawiły się lepszymi zabawkami, były lepiej ubrane. Lubiłam śląskie matki moich rówieśników – silne, dobrze zorganizowane, bezpośrednie, duże kobiety, które roztaczały wokół siebie wiele ciepła” – wspomina. Mówiąc inaczej: Agnieszka Łabuszewska chciała należeć do klasy, która dla jej rodziny była czymś gorszym. Zamiast awansu – deklasacja.

Łabuszewska stawia śląską tożsamość daleko za feminizmem, macierzyństwem czy siostrzeństwem. „Być może wzięłam ją, ponieważ w pewnym momencie nie miałam żadnej tożsamości, nigdzie nie należałam. Ojciec jest z Kielecczyny, matka z Podkarpacia, a ja mieszkam w Warszawie. Brakuje mi niedzielnych obiadów z dużą rodziną, jestem samotna rodzinnie, chciałabym mieć wokół siebie więcej pokoleń” – opowiada. Ciągłe układa skomplikowaną, rodzinną mozaikę. Ostatnio pożegnała się przed śmiercią z siostrą z pierwszego małżeństwa ojca. Była Ślązaczką z krwi i kości.

Widzi jednak słabsze strony Śląska: hermetyczność, całkowite zamknięcie wewnątrz rodziny, które nie pozwala na autentyczne pokazanie siebie na zewnątrz, często bezkrytyczny katolicyzm czy konserwatywne zwyczaje. To wszystko nie pasuje Agnieszce do wi-



Agnieszka Łabuszewska
fot. Michał Radwański

zerunku nowoczesnej, świadomej kobiety. „Nie jestem w stanie porozumieć się ze śląską częścią mojej rodziny, ponieważ nie żyję tak, jak nakazują Bóg, honor i ojczyzna, bo wybieram humanizm, feminizm, ekologię i samorozwój” – mówi Łabuszewska.

Jednak kilka lat temu chciała zorganizować wielką ucztę z muzyką graną na żywo przez orkiestrę górniczą. Ze śląskim jedzeniem na stołach. Do stołu mógłby podejść każdy, pobyć wspólnie w kwintesencji Śląska. Może uda się po pandemii?

CHCIAŁABYM WRÓCIĆ NA ŚLĄSK

W Warszawie od 18 lat mieszka Magdalena Kamińska, producentka filmowa. Jej rodzina od strony mamy pochodzi ze Lwowa, do Katowic przyjechała do wojnie, prowadziła zakład fotograficzny. Jeden z dziadków Kamińskiej urodził się w Opolu. „W jego domu było trzech braci. Dwóch chciało zostać w Polsce, jeden w Niemczech” – wspomina. Od strony ojca dziadek urodził się w Wilnie, a babcia w Zagłębiu. Tato Kamińskiej jest inżynierem górniczym, cała jej rodzina mieszka na Śląsku, brat w Bytomiu, a mama płynnie mówi po śląsku, nauczyła się go na placu od dzieci. „Tylko ja wyrwałam się do Warszawy, bo tutaj jest skupione całe środowisko filmowe” – przyznaje.

Skoro jesteśmy przy filmie, to zaczynamy się zastanawiać, jak o Śląsku opowiada się w polskim kinie. „Dla mnie kultowy i można powiedzieć współczesny film o Śląsku to *Angelus*” – mówi Kamińska. Od wielu lat myśli o projekcie filmowym o rodzinnych stronach. Może o muzyce i słynnych festiwalach?



Magdalena Kamińska
fot. z archiwum prywatnego

Bo ze Śląskiem Warszawiacy mają problem i może dlatego skupiony tutaj przemysł filmowy nie chce inwestować w produkcję o Katowicach. Część z nas myśli stereotypami o brudnym śniegu, kopalniach, zanieczyszczonym powietrzu. „A mam wrażenie, że przez ostatnie lata Katowice zmieniły się nie do poznania. W kopalni mało kto pracuje, w porównaniu do czasów powojennych. Okazało się, że mamy świetnych architektów, dizajnerów, dbamy o jakość graficzną. Tam buzuje coś nowoczesnego” – mówi Magda.

Kamińska opowiada, że w każdej chwili mogłaby wrócić na Śląsk. Według niej w Katowicach panuje większa życzliwość niż w Warszawie, nie ma zadęcia. W sklepie można porozmawiać z ludźmi, kontakty są prostolinijne, przyjemne, nasączone humorem. Opowiada, że przemycia do codziennego języka śląski zaśpiew. „Lubię pracować ze Ślązaczkami, bo są robotne. Szybko się wyczuwamy, nie rozwodzimy się nad sprawami, tylko działamy, co jest potrzebne na planie filmowym. Mój chłopak mówi, że jak gonię go do roboty, to wychodzi ze mnie Ślązaczka” – śmieje się.

ŚLĄSK JAKO DODATEK DO POLSKI

Laura Pawela, artystka sztuk wizualnych, ferie zimowe spędziła na Śląsku. Pojechała, po lekturze *Kajs* Zbigniewa Rokity, do Rydułtów, gdzie się urodziła. „Nie wiem w sumie, czego tam szukałam. Zobaczyłam górnicze miasto, jak to bywa na Śląsku. Trochę jeszcze brudne, choć częściowo już odremontowane za unijne pieniądze” – przyznaje.



Laura Pawela
fot. z archiwum prywatnego

Wychowała się w Rybniku. W spisie powszechnym wszyscy zaznaczają narodowość śląską. „Zapytałam ostatnio mamę, czym jest dla niej śląskość. Odpowiedziała, że głęboko skrywanym wstydem przekazywanym z pokolenia na pokolenie, poczuciem niższości” – opowiada Pawela. Ślązacy według niej wszędzie czują się trochę gorzej, głównie za sprawą języka, który Polakom wydaje się śmieszny. „Jak żech pojechała do tyj Warszawy, to żech sie tam fest źle czuła, bo

jo je ze Śłońska, co oni se tam ło mje pomysłom, dyć słyhać, że jo godom, że mom inkszy akcent” – przywołuje powszechną opinię o śląskiej obcości. Pytam, czy też tak miała po przeprowadzce do stolicy. „Nie, ponieważ wcześniej studiowałam w Opolu i we Wrocławiu, szybko pozbyłam się akcentu. Zresztą rodzice wychowywali mnie w języku polskim, a posługiwanie się śląskim w szkole było źle widziane” – odpowiada Laura.

Wyjeżdżając na studia, miała poczucie, że wyjeżdża do lepszego świata. Wstydziła się Śląska, nie czuła się z nim związana, chciała się go pozbyć. Dopiero po wielu latach zdała sobie sprawę, że to nie powód do wstydu. Wręcz przeciwnie. Zaczęła coraz częściej tam bywać, robić prace o Śląsku, czytać książki. Miała też stworzyć dokument o niepowstałym filmie Kazimierza Kutza *Różowy Horyzont*. Dzięki rozmowom z reżyserem zrozumiała, czym jest śląska tożsamość. „Pogodziłam się z nią. Polubiłam. Zaczęłam jeździć na Śląsk, odświeżyłam sobie ślonsko godka, której teraz chętnie używam, będąc na Śląsku. Przestałam blokować w sobie Ślązaczkę” – mówi Pawela.

Polska silna tożsamość ma tendencje do kolonizowania innych. To stało się ze Śląskiem, a wcześniej próbowano to zrobić z Ukrainą. Swoją drogą czekam na prace naukowe, które metodami postkolonialnymi zajęłyby się zarówno Górnym Śląskiem, jak i niechlubnym okresem skolonizowania Ukrainy przed 1939 rokiem. „To pewnego rodzaju odrębność, różnimy się od Polaków, ale po co stawiać te granice między nami? Weźmy moją rodzinę: pradziadek walczył w powstaniach śląskich, z czego był dumny do końca życia. Podczas II wojny światowej jeden dziadek był u Andersa, a drugi w Wehrmachcie. Do dzisiaj nie potrafię sobie wyobrazić, że ktoś kazał się opowiedzieć Ślązacom, czy czują się bardziej Niemcami czy Polakami. Ta polaryzacja i podział pokutowały przez dziesięciolecia” – opowiada.

Uważa jednak, że dzisiaj Śląsk mógłby być niezależny. „Tylko nie wiem, jak mogłoby to wyglądać, skoro Ruch Autonomii Śląska podupadł, młodzi rzadko godają po śląsku, czym miałyby być ten odrębny Śląsk? Czy naród może istnieć bez języka? Podczas mojego ostatniego pobytu na Śląsku usłyszałam wiele głosów o budującej się tożsamości śląskiej, już bez elementu wstydu. Coraz więcej osób przyjeżdża na Śląsk i co ciekawe, część z nich przyjmuje śląską tożsamość” – mówi Laura Pawela. Z drugiej strony obserwujemy modę na Śląsk: koszulki, przypinki, biżuterię czy mydło z węgla. „Przez to Śląsk stał się jeszcze bardziej śmieszny. Bo czym są tłumaczenia plakatów filmów amerykańskich na śląski albo tiszerty ze śmiesznie brzmiącymi poza Śląskiem hasłami? To memy, które nam nie pomagają” – tłumaczy. Według niej Śląsk należy traktować tak, jak każdy inny rejon Polski, badać jego historię, odkrywać bohaterów, nie tylko tych międzywojennych. „Ta oddolna praca sprawi, że przestaniemy być dupowaci i zaczniemy siebie szanować. Nie możemy być śmiesznym, gorszym dodatkiem do Polski” – mówi Pawela i brzmi wtedy jak Kutz.

Jej 8-letnia córka uwielbia Śląsk, jego zapachy, język, rodzinę. Lubi tam jeździć. „Uczymy ją śląskiego, kupujemy zabawki i gry po śląsku, ale jak zaczynam godać, to mówi mi: mamó, nie mów tym językiem, bo się od razu zmieniasz” – śmieje się Pawela.

Wszyscy moi rozmówcy mówili, że Warszawę po wojnie odbudowali Ślązacy, którzy dostarczali do stolicy cegły, stal i siłę roboczą. To ich mit, mit skrzywdzenia. Problem w tym, że na Warszawę zrzucili się wówczas wszyscy. I chyba dlatego tak bardzo nie lubią nas w Polsce.

Każda i każdy z nich inaczej rozumie śląskość. To część ich rodzinnej tożsamości, przez pewien czas wypieranej lub wręcz przeciwnie – afirmowanej. Inni przyjmują Śląsk i jego tradycje, dodają do swojej biografii, stają się jego częścią. Są też tacy, którzy nie pojawiają się w tym tekście. Chcą autonomii, odcięcia od Polski, budowy niezależnego państwa, z suwerenną władzą, walutą, językiem urzędowym. Śląska tożsamość mieści ich wszystkich, co jest fascynujące i antynacjonalistyczne. Tak samo ma Warszawa: każdy może w niej być sobą. Dziewczyna urodzona na Górnym Śląsku i chłopak z Jerzmanowej.

A ja nieraz żałuję, że nie mogę czegoś powiedzieć po śląsku. Może wtedy czułbym się częścią jakiejś wspólnoty?

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI – dziennikarz i animator kultury.



Piotr Kunce, *Rzeźnia*, 1972, serigrafia, 68 x 90 cm
Kolekcja Galerii Studio w Warszawie, fot. A. Zagrodzka

OBRAZY WOJNY Paulina Olszewska

W maju 2022 roku otwieramy w Galerii Studio wystawę *Dekolonizacje*. Zwracamy w niej uwagę na kulturę artystyczną lat 60. i 70. XX wieku po obu stronach żelaznej kurtyny. Patrzymy na moment, gdy artyści i artystki, unikając języka propagandy, starali się wyrazić protest przeciwko wojnie i kolonialnej przemocy z lewicowej, wolnościowej perspektywy. Do narracji o procesach dekolonizacyjnych włączyliśmy także prace z naszej kolekcji. Wśród nich jest grafika *Rzeźnia* autorstwa Piotra Kuncego z 1972 roku. Punktem wyjścia do stworzenia tej pracy stało się zdjęcie z francuskiego tygodnika „Paris Match” ukazujące egzekucję pakistańskich jeńców. Rzuceni na ziemię mężczyźni są zabijani przez żołnierzy bagnietami. Jeden za drugim. Na fotografiach widać tłum gapiów przypatrujący się scenie, pojawiają się uśmiechnięte twarze. Reporter uwiecznił klatka po klatce cierpienie jeńców i ich śmierć. Stąd trafiło do gazety, po to, aby ukazać się oczom czytelnika przerzucającego strony przy porannej kawie. Przyjrzeć się i przenieść wzrok dalej, na reklamę brylantyny do włosów. Zobaczyć i zapomnieć.

Praca Piotra Kuncego przypomina nam o przemocy i okrucieństwie wojny. Stawia znak równości między zwierzętami a ludźmi prowadzonymi na rzeź. Są tak samo bezbronni i bezsilni. Choć staje się obrazem przetrwanym przez kulturę masową, nie traci na sile i wgryza się w naszą świadomość. Zwraca uwagę, że jeśli przemoc wydarzyła się już raz, nie oznacza, że nie wydarzy się ponownie. Historia lubi się powtarzać.

24 lutego 2022 roku wojna rozpoczęła się obok nas, 200 kilometrów od Warszawy. Jest daleko, ale jednocześnie blisko. Wizualnie doświadczamy jej na bieżąco poprzez relacje w prasie, telewizji, najwięcej w mediach społecznościowych. Pojawia się budzące lęk pytanie: czy te obrazy nie staną niedługo naszą rzeczywistością?

PAULINA OLSZEWSKA – polsko-niemiecka kuratorka, producentka projektów artystycznych, autorka tekstów. Na stałe związana z Galerią Studio w Warszawie, gdzie kuratoruje wystawy m.in. oparte na kolekcji galerii.

Współpraca przy tekście: Wojciech Szucki



Zdjęcie z prób
fot. Przemysław Jendroska

BYK

OPIS SPEKTAKLU

Roboczku, pōdź sam yno do ōpy, dej licko. Robert, powiedz księdzu wierszyk. Taki zdolny, ale leniwy. Panie Robercie, mistrzu, zapraszamy! Panie Robercie, czy to pan jest na tych zdjęciach? Czy pan jest pod wpływem narkotyków? A teraz przed państwem Robert Mamok, skandalista i prowokator! Panie Robercie, może pan coś powie po śląsku...? Robert, musisz mówić o swoich emocjach. Nie możesz się bać swoich emocji, Robert. Tato, jesteś tam? Tato! Robert, skurwysynu, jak mogłeś mi to zrobić? Robert, myślisz, że oni nas widzieli razem? Taki stary, a taki głupi. Tak bardzo się na panu zawiedliśmy, panie Robercie.

Byk to drugi po *Pokorze* tekst dramatyczny Szczepana Twardocha, autora bestsellerowych powieści m.in.: *Króla*, *Morfiny* i *Dracha*. Bohaterem monodramu jest Robert Mamok, który w dwóch językach, po polsku i po śląsku, zmagają się z własną tożsamością klasową i etniczną. Oto mężczyzna w kryzysie: mocuje się ze swoją winą i słabościami, waży sukcesy i klęski, konfrontuje się z wagą rodzinnej tajemnicy, z brzemieniem surowego, śląskiego wychowania, z rozpaczem, gniewem i goryczą.

Sztuka ukaże się w formie książkowej nakładem Wydawnictwa Literackiego 13 kwietnia 2022 roku.

Redakcja, pomysł: Szymon Adamczak
Korekta: Grzegorz Bogdał
Projekt graficzny: Kuki Krzysztof Iwański

W publikacji udział wzięły następujące osoby: Arkadiusz Gruszczyński, Ryszard Kaczmarek, Paulina Olszewska, Zbigniew Rokita

Dyrektor STUDIO:
Roman Osadnik

Dyrektor artystyczna STUDIO:
Natalia Korczakowska

Dyrektor Teatru Korez:
Miroslaw Neinert

Dyrektor Teatru Śląskiego:
Robert Talarczyk

Dyrektor Teatru Łaźnia Nowa:
Bartosz Szydłowski

Dyrektor Instytutu Grotowskiego:
Jarosław Fret

Czarno-białe fotografie zaprezentowane w programie udostępniamy za uprzejmością autorów spektaklu.

Zdjęcia z prób:
Przemysław Jendroska

Byk. Program jest publikacją kontekstową do spektaklu *Byk*, prapremiery scenicznej monodramu Szczepana Twardocha w reżyserii Roberta Talarczyka i Szczepana Twardocha.

SPEKTAKL BYK
PRAPREMIERA: 19 marca 2022,
STUDIO teatrgaleria w Warszawie, Malarnia

Tekst: Szczepan Twardoch
Reżyseria: Robert Talarczyk, Szczepan Twardoch
Obsada: Robert Talarczyk
Scenografia: Marcel Sławiński
Muzyka: Aleksander Nowak
Kierowniczka produkcji: Justyna Pankiewicz
Asystentka produkcji: Katarzyna Pawlonka
Współpraca produkcyjna (Teatr Śląski): Małgorzata Długowska-Błach
Asystentka reżysera (Teatr Śląski): Dorota Damec

Koordinacja (Teatr Łaźnia Nowa):
Małgorzata Rapacz

Producentka (Instytutu Grotowskiego):
Dominika Nestorowska

Współpraca produkcyjna (STUDIO):
Dorota Chałackiewicz

Budowa dekoracji: Stanisław Gał
– SKT Construction

GŁÓWNY PRODUCENT:

STUDIO | 50 LAT
teatrgaleria

KOPRODUCENCI:

 **WYPIAŃSKI**
Fundacja Teatru Śląskiego

PARTNER:



 **INSTYTUT**
IM. JERZEGO
GROTOWSKIEGO

